Pomyłka



Klasztor kamedułów na Jeziorze Wigry, dziedziniec, fot. wikimedia commons.

Florian Śmieja

Do kamedułów na jeziorze Wigry zjechali się naukowcy i literaci, dziennikarze i działacze kultury, by spotkać się i porozmawiać na ciekawe tematy. To tam w końcu poznałem profesora Jana

Błońskiego, jednego z laureatów nagrody dla najlepiej zapowiadających się młodych krytyków polskich, których nagrodziliśmy w Londynie w 1957 roku. (Oprócz niego nagrody otrzymali także: Zygmunt Kubiak, Andrzej Kijowski oraz Marian Pankowski).

Tam też stałem się bohaterem zabawnego nieporozumienia. Nie wiedziałem, że jestem podobny do Ryszarda Kapuścińskiego. Na Wigrach czekało na niego kilka osób znających go tylko z fotografii. Kiedy nie zjawiał się, zaczęli krążyć koło mnie i zagadywać. Koniecznie chcieli zrobić ze mną wywiad. Opierałem się i znajdywałem różne wybiegi. Ale trwała sytuacja niewyjaśniona.

Aż w końcu zjawił się Ryszard Kapuściński. Zainteresowani odskoczyli ode mnie jak niepyszni. Mówiłem mu później, że mnie wzięli za niego i nie mogłem się przed nimi opędzić. Kapuściński wypracował sobie pozycję szczególną, a różni pomniejsi chcieli się choćby kąpać w jego blasku i mieć dowód, że otarli się o wybitność, że będą się mieli kim pochwalić.

Wróciliśmy pociągiem do Warszawy. Kapuściński szczęśliwy siedział sam w przedziale. Zdawał się rozkoszować nieobecnością pasożytów.

Nota bene, reportaże Kapuścińskiego cieszyły się i nadal cieszą

wielką popularnością wśród czytelników. Oby zwracali oni także uwagę na jego zatroskanie o ambiwalentne przejawy współczesnego życia. Chwała mu za uwagę:

> Rosnące bogactwo środków technicznych, elektroniki, wszelkich światłowodów, satelitów, kompaktów i laserów, a jednoczesne zubożenie treści, monotonia, ogłuszająca nuda.

Realizm i magia. Rozmowa o literaturze

iberoamerykańskiej.



Florian Śmieja w Starych Siołkowicach – miejscu urodzenia matki, fot. arch. F. Śmiei.

Beata Tarnowska:

Jest pan nie tylko poetą, tłumaczem, ale również byłym profesorem iberystyki na *University of Western Ontario* w Kanadzie oraz z racji wykonywanego zawodu znawcą literatury hispanojęzycznej. Czy podróżując po Ameryce Łacińskiej miał pan okazję poznać pisarzy tego kręgu

kulturowego?

Florian Śmieja:

Poznałem Mario Vargasa Llosę, Alejo Carpentiera, Jorge`a Luisa Borgesa…

Czy zetknął się pan z Gabrielem Garcią Marquezem?

Niestety, nie. Natomiast poleciałem do Cartageny w Kolumbii, gdzie dwudziestoletni Marquez otrzymał przed laty pracę dziennikarza i reportera. Byłem w redakcji dziennika „El Universal", w którym pracował. Znalazłem się więc w miejscu, z którego autor „Stu lat samotności" czerpał inspirację do swojej twórczości – był bowiem zbieraczem i rekonstruktorem faktów. Jak sam powiadał, właśnie to zbieractwo, fantazja i umiejętność przekształcania autentycznych wydarzeń spowodowały ogromne bogactwo jego dzieła. Niezwyczajny czar kryje się w geograficznych nazwach kolumbijskiego wybrzeża: Cartagena, Barranquilla, Aracataca, Riohacha… Podobnie jak Homer czy Dante, Marquez właściwie nie precyzuje, nie dopowiada do końca, gdzie się urodził. Ale zarazem mógł chyba tylko tam się urodzić, na swojej „ziemi świętej"… Może jest to część mistyfikacji, którą niektórzy uważają za niezbędny element kreowania własnej sylwetki?

Które z powieści z kręgu prozy iberoamerykańskiej

szczególnie Pan ceni? Czy mogą one – Pańskim zdaniem – dorównać „Biblii realizmu magicznego" czyli „Stu latom samotności" Marqueza?

Nie wiem, czy przypomnę sobie dokładne nazwy polskich przekładów… Kalina Wojciechowska przetłumaczyła utwór Alejo Carpentiera „Podróż do źródeł czasu". Uważam, że to jest znakomita powieść. Tam pokazana jest próba cofania się. Byłem w Wenezueli i trochę przyglądałem się krajobrazowi. Jest to, oczywiście, ogromny kraj, ale wystarczy na przykład znaleźć się w Caracas, pojechać jeszcze sto kilkadziesiąt kilometrów do jakiejś miejscowości i wejść do wiecznie zielonego lasu, aby mieć pewne pojęcie o przyrodzie, o ziemi, która rozpościera się dalej na południe, i przechodzi w sawanny, tzw. *llano*, czyli równiny, przez które płynie rzeka. Tą rzeką trzeba wstępować w górę i cofać się w czasie… Obok Carpentiera należy koniecznie wymienić Argentyńczyka Ernesto Sabato…

… autora powieści „Bohaterach i grobach".

Bardzo popularna jest też jego krótka powieść „Tunel". Potem Julio Cortazar…

W latach 70. i 80. eksperymentalna „Gra w klasy" Cortazara była w Polsce niemal kultową powieścią ówczesnego pokolenia. Podobnie zresztą jak proza

realizmu magicznego, ukazująca świat poprzez pryzmat prekolumbijskich wierzeń. „Zachłyśnięcie się" tą literaturą, będące w pewnej mierze rodzajem antidotum na szarą rzeczywistość ówczesnej epoki, jest już chyba sprawą przeszłości. Późniejsze pokolenie młodych czytelników wolało czytać Williama Whartona.

Cóż robić? Szkoda, bo była to jednak inna, wielka literatura, świadcząca o tym, że Ameryka Południowa dojrzała, doszła w powieści do szczytów artyzmu. Powinniśmy wymienić tu jeszcze Carlosa Fuentesa; kilka jego powieści kwalifikowałoby się do tego kanonu.

I oczywiście, jeszcze jest Juan Rulfo, autor jednej właściwie powieści „Pedro Paramo", zaliczanej do arcydzieł literatury światowej. W Polsce – mimo znakomitych przekładów – prawie nieobecny.

Bardzo dobrze znam okolice, w których urodził się Juan Rulfo i które stanowią tło jego powieści. Jest to Colima nad Pacyfikiem, jeden ze stanów Meksyku. Podróżowałem tam wiele razy. Autobusami, które jeżdżą szesnaście godzin, bez wody, w tłumie ludzi – męczyłem się, bo chciałem koniecznie napisać o *cristeros****[1]***. Wielokrotnie rozmawiałem z ich byłymi przywódcami, wtedy już wiekowymi. Rulfo także wspomina te oddziały, częściowo ze względu na swojego ojca, który zginął w

czasie rewolucji. Wydarzenia z tamtego okresu do dzisiejszego dnia stanowią w historii Meksyku sporny i wstydliwy problem dla obu stron, i dla państwa, i dla kościoła. Hierarchia kościelna ugięła się bowiem, paktowała… A wojna była niezwykle krwawa. Posiadam fotografię, na której rządowi żołnierze trzymają odrąbane głowy *cristeros*… Niestety, nie pozwolono mi o tym pisać. Temat był ideologiczny, a wtedy, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wszystkim rządziła lewica, i każdy nie-lewicowy temat „ubijano" nawet w Kanadzie, gdzie zamieszkiwało sporo Meksykanów. Żeby więc jakoś usatysfakcjonować swoje plany, których nie mogłem zrealizować, przetłumaczyłem powieść meksykańskiego pisarza Jesusa Goytortua „Zadumana", z 1945 roku. Jest to tzw. powieść popularna, z wyeksponowanym wątkiem romansowym, obfitująca w niezwykłe wydarzenia i niespodziewane zwroty akcji. Czyta się ją znakomicie, ale co najistotniejsze – przedstawione w niej zostało tło wojen religijnych przełomu lat dwudziestych w Meksyku.

Czy podczas swoich podróży po Meksyku spotkał Pan Juana Rulfo?

Chodziłem śladami Rulfo. Mój znajomy poeta i tłumacz, Jan Zych, mieszkający w stolicy Meksyku, wskazał mi kawiarnię, w której Rulfo często bywał. Chodziłem do tej kawiarni, ale niestety, nigdy nie udało mi się tego pisarza spotkać. Zmarł w 1986 roku.

W powieściach realizmu magicznego fascynująca jest dla nas przede wszystkim odmienność kulturowa, na którą składają się m.in. ukryte pod powierzchnią chrystianizmu – elementy prekolumbijskich wierzeń. Takie na przykład, jak wiara, że śmierć stanowi przedłużenie życia, a grzechy są wędrującymi bytami… Czy zetknął się Pan z przejawami minionych kultur?

Meksyk jest ogromnym krajem i w jego oddalonych zakątkach utrzymują się jeszcze prekolumbijskie wierzenia. Ale z pewnością nie w pobliżu wielkich miast, jak Meksyk czy Guadalajara. Można jednak podać przykłady społeczności indiańskich, które nie znają języka hiszpańskiego, bo żadne wpływy kulturowe do nich nie dotarły. Indianie ci żyją w takim odosobnieniu, że nie ma żadnych dróg, którymi można by do nich dotrzeć; jedyną możliwością pozostaje lot helikopterem. Niedawno odkryto na Jukatanie piramidy, o których nikt nie słyszał, które nieznane były nawet Hiszpanom. Dżungla wszystko przykryła, i potomkowie Kolumba nigdy nie postawili tam stopy… Odwiedziłem kościół San Juan w miejscowości Chamula w prowincji Chiapas, tuż przy granicy z Gwatemalą (ten sam Chiapas, w którym wybuchło powstanie Indian). Jest to kościół „niby-katolicki”, albowiem przechowuje jeszcze wiele pogańskich zwyczajów. Zamordowano w nim turystę, który wszedłszy do środka, natrząsał się z zachowania tubylców. Przychodzili oni do tego kościoła całymi rodzinami, posypywali „świętą trawą”

podłogę, na której siadali, jedli obiady, dawali jedzenie duchom, pili, palili świece – słowem, urządzali „dziady". Takich „niby-katolickich" świątyń jest oczywiście w Meksyku więcej; a jednocześnie Kościół nie walczy z pozostałościami dawnych religii, uważając zapewne, że lepsze „coś" niż nic… To właśnie byłby przykład – znanego mi z autopsji – „extremum", ale już na granicy świata rozumianego przez nas, chrześcijańskiego.

Marquez w jednym z wywiadów przekonywał, że wszystko, co zawarł w „Stu latach samotności" zakorzenione jest w realnej rzeczywistości: deszcz żółtych kwiatów, duchy zmarłych błądzące po domu, wniebowstąpienie pięknej Remedios…

Powiedzieć, że pewnego dnia dziewczyna zaginęła, by później pojawić się w miasteczku, gdzie jest bufetową albo gorzej – niedobrze brzmi. Natomiast obraz dziewczyny unoszącej się w powietrze, w łopocie prześcieradeł – jest niewątpliwie piękny. Marquez napisał kiedyś, że do ósmego roku życia wiódł bardzo bujną egzystencję – tyle rzeczy mu się wydarzyło… A potem? Już mało. I co tu jest prawdą, a co jest mistyfikacją? Co dorzucili inni?

W jednym z wywiadów opowiadał też, jak po śmierci pułkownika Buendii, bohatera swej najważniejszej powieści, zamknął się w pokoju i przez dwie godziny

płakał… Granica pomiędzy realnością i fikcją staje się więc płynna, umowna…

Kiedyś z Polski pozdrowiłem e-mailem sekretarkę dziekana w Ontario słowami „czekamy na wiosnę, wnet przylecą bociany". Odpowiedź brzmiała: „a bocian to jest ptak miejski, czy wiejski, i skąd on ma przylecieć?" Okazuje się, że to, co dla nas jest codziennością, dla innych stanowi egzotykę. Jeśli jakiś pisarz wykorzystałby na przykład obraz przylatujących bocianów w powieści, i powieść tę przeczytaliby, powiedzmy, Eskimosi, mogliby zakrzyknąć: „ależ to jest realizm magiczny, nie z tej ziemi!" Ameryka Południowa posiada jeszcze nie tylko obszary dziewicze, nietknięte ludzką stopą, ale i zjawiska, które w literaturze mogłyby z łatwością przeistoczyć się w elementy „rzeczywistości cudownej". Na przykład motyle, które wracają do Meksyku całymi chmarami (między innymi, z Kanady). Zdarzają się chmury motyli tak wielkie, że potrafią zaćmić słońce. W pewnym momencie staje się ciemno, bo przelatują motyle. Natomiast kiedy w Kanadzie przelatują kaczki, Amerykanie przez trzy dni mają perturbacje samolotowe: wszystkie radary szumią, ponieważ miliony kaczek leci. Nie trzeba zatem wiele, aby podobne zdarzenia przekształcić w literaturze w coś bardzo cudownego, a jednocześnie rzeczywistego.

Jak Pan ocenia te książki Marqueza, które pojawiły się po „Stu latach samotności"? Światowym bestsellerem była

„Miłość w czasach zarazy”.

Moja miłość pozostała przy „Stu latach samotności”. Później Marquez zbierał to, co nie weszło do tej powieści. Na samym początku pisarskiej kariery posiadał wielki zwój papieru, rulon fantastycznej prozy, z której wyłoniły się aż trzy osobne powieści. Cięcie mogło nastąpić w dowolnym miejscu. Jemu było jednak żal tego, co odpadło. A skoro wątek erotyczny zawsze ludzi interesuje…

„Kronika zapowiedzianej śmierci”, która powstała po „Stu latach samotności” (chociaż oparta była na faktach, dużo wcześniejszych) jest również niezwykłym opowiadaniem…

Jestem przyzwyczajony do tego rodzaju pesymistycznej, ciemnej atmosfery, istnieją bowiem precedensy w literaturze hiszpańskiej. Na przykład ostatni Noblista hiszpański Camilo Jose Cela, a przedtem Pio Baroja, który pisał podobnie pesymistyczne, ciemne i trudne książki, i w jakimś sensie był uważany za mistrza, i przez Hemigway’a z jednej strony, i przez Celę z drugiej. Sam umarł ubogo, szaro… Za życia powiadał: „jestem zbyt biedny, żeby nie pisać; muszę z czegoś żyć, więc piszę. Gdybym miał pieniądze, to bym nie pisał”. A poza tym to wszystko powraca do nurtu realistycznego, pikarejskiego, który w tradycji literatury hiszpańskiej jest bardzo mocno zakorzeniony. Natomiast ludzie spoza tego kręgu kulturowego

odczuwają to niezwykle dobitnie. Mówiąc o Celi, użyłem słowa „turpizm”; Hiszpanie mają słowo „tremendismo” od przymiotnika „tremendo” (straszliwy, upiorny, niesłychany). Najdziwniejsze może było to, że ten prąd powstał po wojnie domowej, kiedy ludzie w Hiszpanii zaczęli się już nieco bogacić. Jak zasiadali wieczorem do kolacji (a jada się tam kolację, jakieś dwie godziny przed północną), wówczas radio nadawało kolejne odcinki mrożących krew w żyłach powieści Celi. Żeby „burżujów” trochę podrażnić…

Nie odbierałabym jednak powieści Marqueza – mimo fatum ciążącego niezmiennie nad ich powieściowym światem – jako mrocznych i pesymistycznych. Proza Juana Rulfo jest z pewnością o wiele bardziej mroczna, bo jest pozbawiona tego elementu humoru, czy „ironii magicznej”, który cechuje styl autora „Stu lat samotności”. To świat jakby wstrząsany deszczem, straszliwy i niespokojny…

Sądzę, że to wynika z osobowości tego pisarza. Marquez natomiast bawi się literaturą.

…a osobowość Juana Rulfo ukształtowało cierpienie, jakiego doznał w dzieciństwie: utrata obojga rodziców, bieda…

Poza tym w Meksyku śmierć wydaje się wszechobecna, „łatwo

dostępna”, wszędzie widziana. Przecież kiedy Meksykanie celebrują dziady, to dosłownie wszyscy idą na cmentarz, siedzą tam, piją. Z drugiej strony, istnieje tak charakterystyczne dla kultury tego kraju – prześmiewanie się ze śmierci, łagodzące, być może, jej okrucieństwo. Wystarczy spojrzeć na cukierki, w kształcie czaszki czy kościotrupa.

Właśnie. Natomiast dla autora „Miłości w czasach zarazy” – „to nie śmierć, ale właśnie życie nie ma granic”… Czy nurt realizmu magicznego uznaje się za bezpowrotnie wyczerpany?

Nie można przesadzać w niczym. Literatura Ameryki Łacińskiej jest inna, i dlatego zafascynowała nas swoją innością. Natomiast podawanie tych samych rzeczy po raz drugi i trzeci, przez „małych mistrzów”, trąci trochę uzusem.

Realizm, aby mógł pozostać realizmem, odzwierciedlającym rzeczywistość, nie może przecież wpisywać się w istniejące już od dawna konwencje. W trakcie naszej rozmowy wspomniał Pan o swoim przekładzie meksykańskiej powieści „Zadumana”. Tłumaczył Pan, obok wielu innych powieści oraz sztuk, także utwory poetów hiszpańskich i arabskich. Na uwagę zasługuje szczególnie dzieło hiszpańskiego Noblisty Juana Ramona Jimeneza „Srebroń i ja”. Wydaje mi się, że ten

poeta, podobnie jak Rulfo, pozostaje w Polsce nie doceniony.

Juan Ramon Jimenez był znakomitym poetą, lirykiem. Trudności z przełożeniem jego utworów są ogromne i to one skazują go na niedostateczną popularność poza granicami języka hiszpańskiego. Za to jego urocza proza poetycka „Srebroń i ja" podbiła cały świat i fascynuje prawdziwych miłośników literatury.

Jakie są Pańskie plany przekładowe?

Powinniśmy byli, jak sądzę, wspomnieć także o moim przekładzie ważniej powieści meksykańskiej „Los de abajo", którą wydało Wydawnictwo Literackie pod tytułem „Gniew". Jest to prototyp tzw. powieści rewolucyjnej, gatunku prozy o niesłabnącej żywotności, gdyż można do niego zaliczyć także powieść Carlosa Fuentesa „Śmierć Artemia Cruz". Mariano Azuela w 1915 roku wydał jej pierwowzór wplatając do jej wątku osobiste wspomnienia, gdyż służył jako lekarz pod jednym z watażków w pierwszej fazie walk rewolucyjnych.

Aby zaznajomić się z topografią walk opisywanych w powieści, zjeździłem lokalnymi autobusami okolice San Jose de los Lagos, a stamtąd pojechałem do Zacatecas. W Wydawnictwie Wacława Bagińskiego we Wrocławiu wyszedł mój wybór legend i listów

literackich hiszpańskiego pisarza i poety romantycznego Gustavo Adolfo Becquera w wersji dwujęzycznej. W planach jest przekład aforyzmów siedemnastowiecznego jezuity hiszpańskiego. Ale przyszłość jest zawsze bardziej lub mniej zakryta.

---

[1] *cristeros* – meksykańscy powstańcy katoliccy, głównie chłopi, walczący w latach 1926-1929 oraz 1934-1937 przeciw antyklerykalnym rządom liberałów w obronie wiary, praw i przywilejów kościoła katolickiego.

Wywiad pochodzi z książki: Beata Tarnowska, Wokół Kontynentów. Szkice i rozmowy z poetami, wyd. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, 2011 r., s. 186-194.

Paweł Wróbel – malarz naiwny.



Paweł Wróbel, ze zbiorów Floriana Śmiei.

Florian Śmieja

Na moich ścianach wiszą dwa płótna Pawła Wróbla (1913-1984), jednego z głośniejszych górnośląskich malarzy naiwnych. Te jego śląskie krajobrazy są fantastyczne, bo kolorowe, a ludzie anonimowi.

Do artysty pojechałem z Wilhelmem Szewczykiem. W lichym mieszkaniu górniczym zobaczyłem dwa gotowe obrazy namalowane jaskrawymi farbami akrylowymi z przewagą czerwieni, z życzeniową zielenią. Ulice były sine, ludzkie postacie zamiast twarzy miały puste kółka.

W jednym z wierszy tak to określiłem:

> …Paweł Wróbel w mizernej izdebce
>
> piórkiem kolibra pstrzy apokalipsę
>
> pocętkowaną widmami bez twarzy.

Wziąłem oba obrazy, które teraz reprezentują nieobecny Śląsk. Szewczyk w drodze powrotnej orzekł, że mając gotówkę Wróbel

przestanie malować, aż mu zabraknie pieniędzy. Natchnienie przybiera różne postacie.

Te dwa płótna Pawła Wróbla reprezentują więc czarny Śląsk, a właściwie fantazyjny Śląsk, kolorowany wszelkimi akrylowymi farbami, jakimi artysta w owych czasach dysponował. Teraz patrzę na zachowane przez malarza mało ekologiczne, solidne kominy, z których wydobywa się gęsty dym w takt tuwimowskiej wizji, że Śląsk śpiewa. Na ulicach przechodnie bez twarzy, jakby byli tej ziemi przypisani, niczym kolonialne znamię wyzysku. Nie widać dyrekcji, bo ona nietutejsza i chowa się po willach, śladowo pokazuje się niepewnie na Barbórkowych celebrach.



Paweł Wróbel, ze zbiorów Floriana Śmiei.

O pewnym

popołudniu literackim w Toronto

Edward Zyman

Tajemnicze zdjęcie sprzed lat



Wieczór poświęcony Wacławowi Iwaniukowi w 1984 roku w Toronto. Od lewej: dr Maja Cybulska, Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, prof. Florian Śmieja, Irena Habrowska-Jellaczyc, fot. arch. F. Śmieji.

Likwidując swój księgozbiór (wcześniej czy później uczynić to musi każdy sędziwy pisarz), prof. Florian Śmieja natknął się na intrygujące zdjęcie. Przedstawia ono cztery rozpoznawalne w środowisku artystycznym polskiej diaspory postacie: cenioną aktorkę, twórczynię w latach 70. ubiegłego wieku Polskiego Teatru w Toronto, Irenę Habrowską-Jellaczyc, Floriana Śmieję – poetę, tłumacza, profesora iberystyki na uczelniach w Anglii i Kanadzie, Jadwigę Jurkszus-Tomaszewską – eseistkę i reporterkę, autorkę m. in. ważnej książki dokumentującej

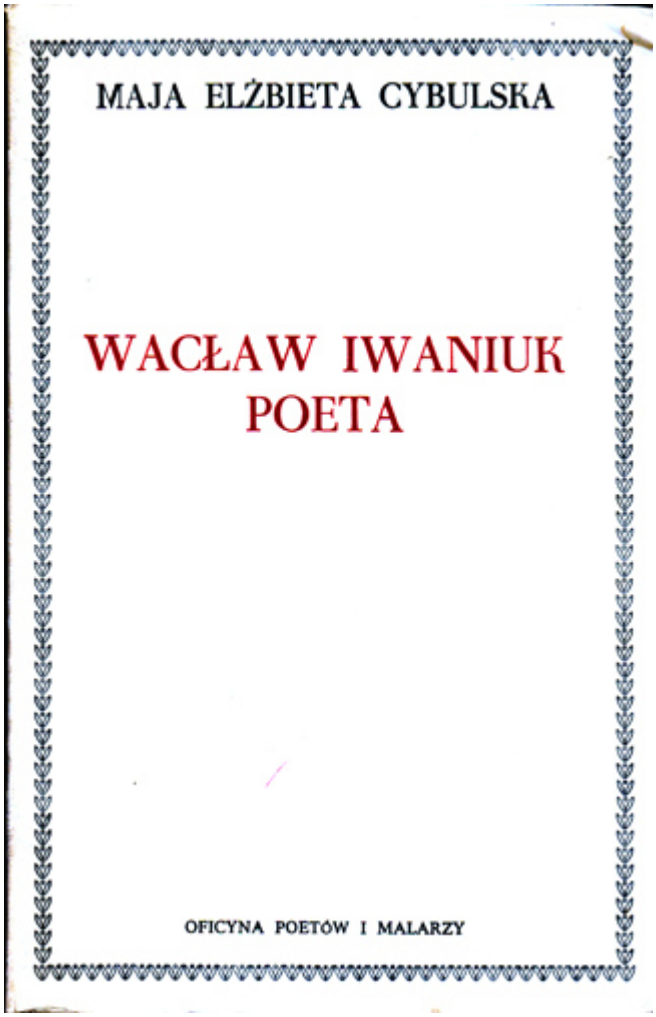
półwiecze kultury polskiej w Kraju Klonowego Liścia *Kronika pięćdziesięciu lat. Życie kulturalne polskiej emigracji w Kanadzie* i tajemniczą brunetkę, którą okazała się dr Maja Cybulska – poetka i eseistka, autorka pierwszej książki monograficznej o żyjącym poecie na obczyźnie, zatytułowanej *Wacław Iwaniuk. Poeta*.

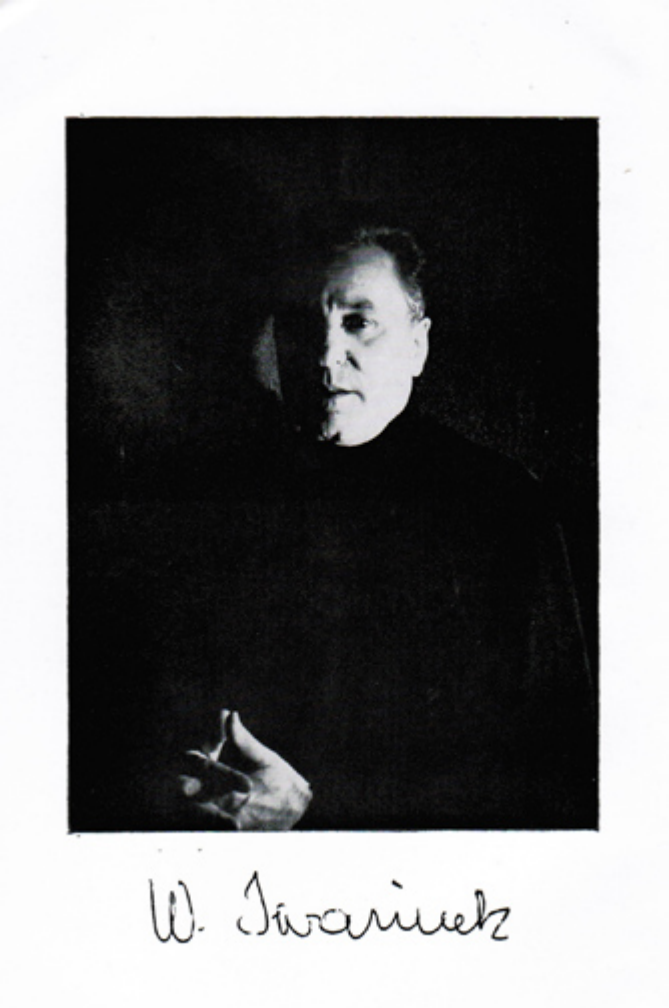
Znalazca zdjęcia usiłował osadzić je w torontońskich realiach, ale kapryśna pamięć potrafiła odtworzyć jeden tylko szczegół: że zdjęcie zostało zrobione w sali Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy 206 Beverley Street, w swoim czasie „etatowego" miejsca polskich imprez artystycznych i kulturalnych. Podjęte przez Profesora „badania", do których zaprosił także niżej podpisanego, pozwoliły ustalić, że zdjęcie rejestrowało fragment wieczoru z dr Mają Cybulską, przybyłą do Toronto z okazji promocji wspomnianej wyżej książki, i Wacławem Iwaniukiem, książki tej głównym bohaterem.

Kolejne kroki „śledcze" pozwoliły na ustalenie dalszych szczegółów. Niezwykle pomocny okazał się w tym artykuł Mariana Relińskiego „Popołudnie literackie w Toronto", opublikowany na łamach „Głosu Polskiego" w dniu 10 października 1984 roku. Przytoczmy jego obszerne fragmenty:

> W dniu 27 września 1984 w domu SPK w Toronto odbyła się,

staraniem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, niecodzienna impreza literacka, spotkanie z autorami dr Mają Cybulską z Londynu i Wacławem Iwaniukiem. W imieniu SPK przywitał gości wielki przyjaciel pisarza i książki Marian Chyliński. O sylwetce literackiej Maji Cybulskiej mówiła dr Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, podkreślając osobowość, osiągnięcia pisarskie autorki książki *Wacław Iwaniuk. Poeta*, historyczny fakt w dziejach naszej literatury emigracyjnej dotąd bez precedensu, że gościmy dzisiaj nie tylko poetkę i eseistkę, ale pisarkę, która opublikowała pierwsze studium o pisarzu żyjącym poza granicami kraju. Dr Maja Cybulska opowiedziała o swym warsztacie literackim, poszukiwaniach twórczych, cytowała fragmenty swej pracy i poezji. W drugiej części przedstawiła fascynująco jak pisała książkę o Wacławie Iwaniuku.


MAJA ELŻBIETA CYBULSKA
WACŁAW IWANIUK
POETA
OFICYNA POETÓW I MALARZY



W dalszej części artykułu autor informuje czytelników, że program „wypełniły recytacje wierszy Iwaniuka w świetnej, pełnej ekspresji interpretacji Ireny Habrowskiej-Jellaczyc, Mai Cybulskiej i samego poety”, a imprezę „prowadził jeszcze jeden poeta – prof. Florian Śmieja”.

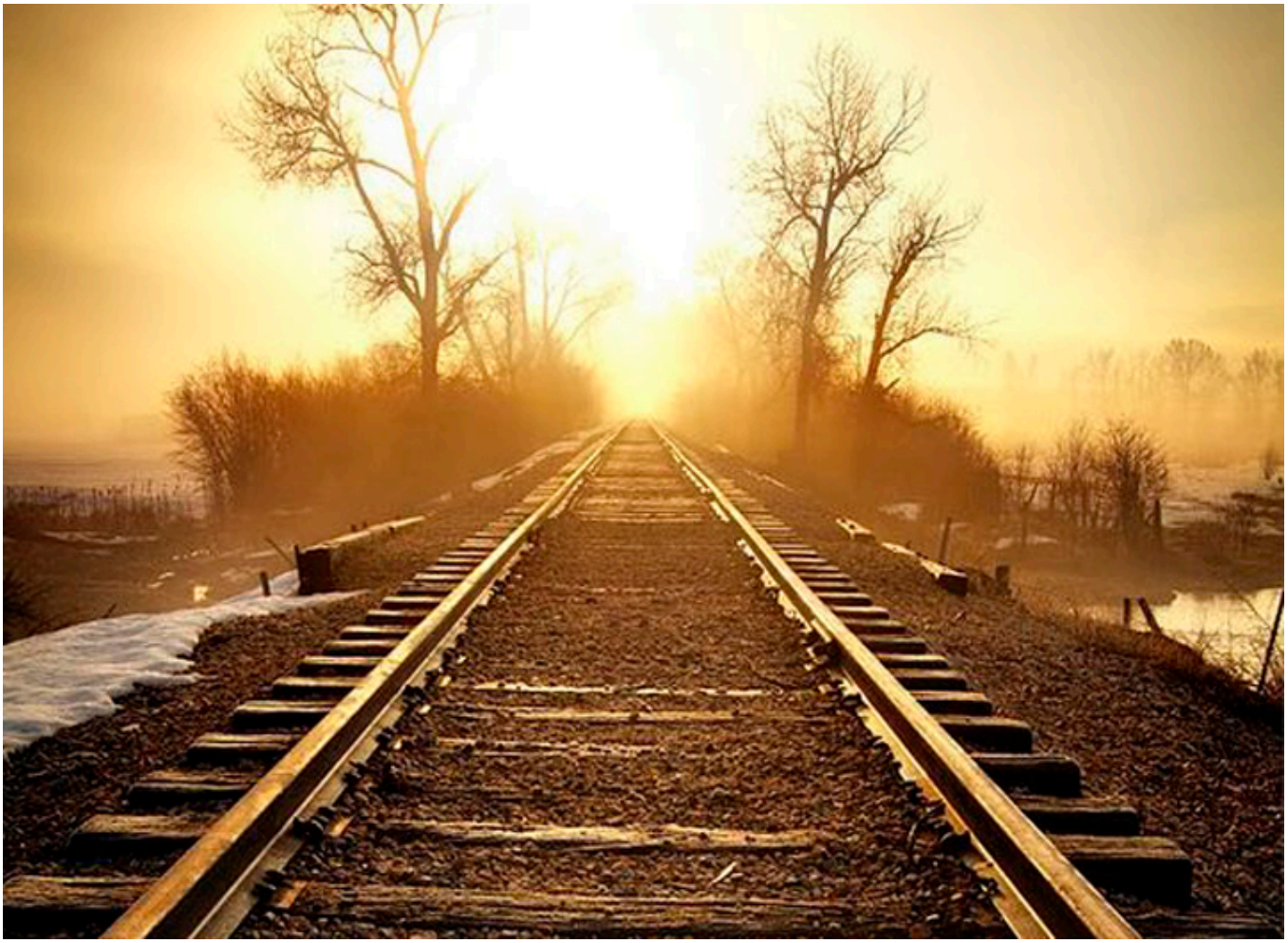
Z życzliwej relacji Relińskiego wynika, że tytułowe popołudnie literackie w Toronto okazało się bardzo udane. Nic więc dziwnego, że publiczność „zgotowała obu autorom gorącą, spontaniczna owację”. Podkreślając ten fakt, Reliński stwierdza:

> Niewątpliwie Popołudnie Literackie było wydarzeniem w powodzi imprez różnorodnego pokroju na naszym terenie. Szkoda tylko, że nie dopisała publiczność i ta „kulturalna”, i ta, która woli pikniki. Nie widzieliśmy również na sali wielu przedstawicieli emigracji najnowszej, stale narzekającej na marazm kultury i brak jakichkolwiek poczynań w tej dziedzinie. Wacław Iwaniuk, jeden z największych żyjących poetów polskich, znany jest w całym wolnym świecie. W Polsce piszą o nim rozprawy naukowe, w Londynie książki. Groteskowym wprost zjawiskiem jest, że nie uznaje go… polska społeczność w Kanadzie. Zawiść? Niechęć? Jak wielu innych pisarzy, jest niekonformistyczny i uważa, że polskie wady narodowe należy piętnować i tępić. (…) Może nie od rzeczy będzie tu zanotować celną odpowiedź jednego z przyjaciół Iwaniuka, udzieloną jojczącemu „krytykowi”. – Panie drogi, za 20-30 lat ani ze mnie, ani z pana nie pozostanie śladu. Iwaniuk natomiast zostanie. Na zawsze. W literaturze.

Prorocze słowa owego przyjaciela nie zaskakują. Iwaniuk rzeczywiście w literaturze polskiej pozostał. Że tak właśnie będzie Marian Reliński nie miał najmniejszych wątpliwości. Co nie dziwi, zwłaszcza, że – jak ustaliły dalsze „badania” – pod pseudonimem Relińskiego ukrywał się wyśmienity ekspert – znany pisarz, reporter i prozaik, zmarły w 2002 roku, Adam

Marian Tomaszewski.

Wrzesień



Fot. Clint Losee, pinterest.

Florian Śmieja

Kiedy w piątek 1 września 1939 roku o brzasku alarm przeciwlotniczy spędził nas do piwnicy domu przy Placu Karola Miarki w Katowicach i słychać było wybuchy bomb na lotnisku, jak się później miało okazać, kuzyn z ważną miną instruował krewniaków ze wsi, którzy się u niego schronili, jak należało się zachować w drastycznych sytuacjach. Powszechnie spodziewano się ataku gazowego, a wtedy pouczał, trzeba było posiusiać chusteczkę i przyłożyć do nosa i ust. Zapamiętałem sobie tę procedurę. Dosadność jej nie pozbawiona pewnej dozy komizmu, nie dała o sobie zapomnieć przez całe życie.

Po południu tego samego dnia, kiedy stało się jasne, że wojska niemieckie przekroczyły granice Polski, znalazłem się na dworcu kolejowym, by łapać pociąg jadący na wschód, w pierwszym rzędzie do Krakowa.

Nie wiem, jak to się stało, że pojawił się nagle znajomy ojca z sąsiedniej wsi, architekt Wieczorek, zatrudniony pod Stryjem, który wracał do pracy i czasowo przebywającej tam rodziny w huculskiej wsi Majdan Drohobycki. Zgłosił gotowość zabrania mnie ze sobą. Byłbym daleko od frontu, bezpieczny. Z błogosławieństwem matki, pragnącej ratować najstarsze dziecko, w mundurku gimnazjalnym, z małą walizeczką, nieodłączną lśniącą, niklowaną wiatrówką marki diana, złotym kieszonkowym

zegarkiem ojca i banknotem stuzłotowym w kieszeni pojechałem w nieznane.

Na peronie panował wyjątkowy tłok. Kiedy podstawiono wagony, tłum runął na nie bez ładu i składu. Każdy zdał się imać tej deski ratunku przeczuwając, że może już nie być następnej okazji. Ten, kto nie miał większych bagaży, poruszał się swobodniej, właściciele wielkich ciężarów mordowali się, by je pomieścić w przedziałach już zatłoczonych do granic pojemności. Pamiętam, jak mężczyzna obarczony pół tuzinem bagaży mozolnie je pakował do przedziału nie zważając na protesty stłoczonych pasażerów, którzy już utyskiwali z powodu braku miejsca i w końcu widząc kolejne walizki wkładane im na głowy, otworzyli drzwi z drugiej strony i wyrzucali bezceremonialnie bagaże na przeciwległy peron.

Po długim postoju pociąg wreszcie ruszył z dworca i wyjechał z miasta a wnet potem i ze Śląska, kierując się przez graniczną Przemszę na wschód do Małopolski. Mijaliśmy pociągi wojskowe z żołnierzami pełnymi animuszu. Na trójnogach sterczały karabiny maszynowe mające chronić przed atakami lotniczymi. Na bezchmurnym niebie ciągnęły eskadry srebrzących się samolotów. “Te srebrne samoloty są czeskie”, pocieszali się ludzie, chcąc jakoś dezawuować potęgę nieprzyjaciela.

Z wysokiego nasypu, na którym zatrzymał się pociąg, byliśmy

świadkami bombardowania Krakowa i niskich, krótkich lotów polskich myśliwców nie chcących się narazić liczniejszemu i szybszemu nieprzyjacielowi.

Na dworcu krakowskim było ludno, ale ludzie stali jeszcze posłusznie przy kasach po bilety. W jednym z ogonków zauważyłem swojego profesora matematyki z Tarnowskich Gór, Brońca. Załadowaliśmy się do pociągu jadącego do Lwowa. Był przepełniony. Zaraz po wyjeździe oglądaliśmy leżący obok toru zbombardowany pociąg, ciała leżały nietknięte przez nikogo. Samoloty latały niebezpiecznie blisko. Jechaliśmy wolno dalej. Często, kiedy pociąg nasz musiał przystawać, pasażerowie gnali w pole biegnąc jak szaleni jak najdalej od torów w obawie przed atakiem. Przypominam sobie, że jadący z nami umundurowani wojskowi przodowali w tych biegach. Potem wracaliśmy do wagonów i ruszali dalej.

Nadeszła noc, a ponieważ jechało z nami wielu Żydów, zaczęły się w całym pociągu głośne modły szabasowe i śpiewanie. W ciemności, w atmosferze nieznanej religijnej euforii zbliżaliśmy się do Lwowa.

Wyszedłem z Wieczorkiem na miasto. Oglądaliśmy pierwsze trafione przez bomby kamienice, bodaj przy ulicy Krótkiej. Najwidoczniej chybiły celu. Były ofiary wśród ludności cywilnej. Wróciliśmy na dworzec, a mając czas do odejścia pociągu do

Stryja, zamówiliśmy obiad. Kiedy jedliśmy z apetytem ciepłą strawę, zawyły syreny, a potem rozległo się terkotanie karabinów maszynowych obrony przy hali dworcowej. W panice razem z innymi, pozostawiwszy wszystko biegliśmy do schronu. Kiedy alarm minął, nikt już nie inkasował pieniędzy. Pod wieczór odjechał lokalny pociąg do Stryja. Wysiedliśmy w szczerą noc na małej stacyjce, której nazwy nie pamiętam. Opadło nas natychmiast kilku mężczyzn uzbrojonych w długą broń palną Obawiano się dywersantów i szpiegów. To lokalna straż obywatelska czuwała nad bezpieczeństwem. Czekaliśmy razem z nią do rana na drezynę przedsiębiorstwa (Skarbofermu?), która nas zawiozła do odległej wsi na tereny budowy.

Dzieci i żona Wieczorka ucieszyły się ogromnie z przyjazdu ojca. Byli teraz razem, a do dyspozycji mieli mały samochód marki steyer, którym odbyłem pierwszą w życiu przejażdżkę prywatnym samochodem po rozległej górskiej wsi.

Zamieszkałem w chacie jednego z zaprzyjaźnionych gospodarzy. Płaciłem drobną kwotę za stancję i kupowałem sobie chleb, masło i mleko rozmieniwszy banknot. Zacząłem oszczędne życie czternastolatka w szerokim świecie. Górska, zalesiona okolica łudziła sielankowym krajobrazem i spokojem, choć już dochodziły wieści o podpaleniach i mordach, o ukraińskich bandach napadających na gospodarstwa. Na niebie pojawiały się niekiedy niemieckie samoloty zwiadowcze, ale przelatywały dalej.

Słuchaliśmy radia. Jego meldunki były tajemnicze i niejasne. Zaczęły szerzyć się plotki, domysły i zmyślenia.

We wsi, w której był tartak i budowano kościół katolicki, pojawiło się trzech urzędników pocztowych pracujących na Śląsku. Skorzystali oni z przymusowego pobytu, by zamówić u lokalnego szewca oficerki. Za te śliczne buty z cholewami z cieniutkiej skórki zapłacił jeden z nich, dobrze pamiętam, woreczkiem z grosikami w sumie 60 złotych. (Nie wiem, co było na terenach zajętych przez Sowietów, ale Niemcy zdewaluowawszy polskie pieniądze, pozostawili przez pewien okres wartość grosza i bodaj dwugroszówki).

Parotygodniowa sielanka w krainie odciętej od świata nie mogła jednak trwać bez końca. Wieści o podpalaniu przez Ukraińców gospodarstw polskich zaczęły niepokoić, a wreszcie gruchnęła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do wschodniej Polski.

Wieczorek pospiesznie spakował rodzinę, na wolne miejsce w samochodziku wziął swojego czeladnika. Mnie kazał wracać na własna rękę. Niespodziewanie jednak zgodził się zabrać moją niklowaną wiatrówkę i, o dziwo, jakimś cudem dowiózł ją rodzicom!

Dla mnie zaczęła się prawdziwa odyseja. Przyłączyłem się do pocztowców ze Śląska, nasz kierunek wędrówki był ten sam. Nie

chcieliśmy za żadną cenę znaleźć się w mocy Sowietów. Miałem przy duszy złoty zegarek i osiemdziesiąt złotych. Wynajętą furmanką wyjechaliśmy w kierunku Borysławia i Drohobycza. Jechaliśmy rankiem na północny zachód czując, że załamuje się pozorny spokój. W przysiółkach i wsiach, przez które wypadło nam jechać, krążyli ludzie w podejrzanym ożywieniu. Kiedy przystawaliśmy, wyrastali spod ziemi chłopi, którzy bezceremonialnie chwytali konia za uzdę wołając, że to ich „kiń" i wszczynali awanturę, z której jakimś cudownym zrządzeniem udawało nam się uwalniać i jechać dalej. Pod Borysławiem w lesie na daremno krzyczeli na nas Ukraińcy żądający, byśmy się zatrzymali. Pocztowcy kazali jechać szybciej, a w pewnej chwili, kiedy bojówka ukraińska zaczęła ścigać wóz, w ich ręku pojawiły się pistolety, które Ukraińców powstrzymywały na dystans, choć nadal ciągnęli za nami. Najwidoczniej nie mieli amunicji do strzelb, którymi wymachiwali, więc uciekliśmy im z duszą na ramieniu i z ogromną ulgą zobaczyli, kiedy wyjechaliśmy z lasu, niemiecki posterunek. Nie zapomnę wyrazu zdumienia na twarzy Niemca, który zapytawszy rutynowo, czy posiadamy broń, zobaczył dwa okazałe pistolety, które pocztowcy mieli w pogotowiu na wozie. Po rozmowie, urzędnicy znali niemiecki, oddaliśmy broń, a w komendanturze otrzymali zaświadczenie na cztery osoby jadące na Śląsk.

Nad Drohobyczem stały nadal jeszcze czarne chmury płonącej rafinerii zbombardowanej na początku wojny. Zaopatrzywszy się

w chleb spędziliśmy na kwaterze noc słuchając strzałów patroli, strzegących zakazu poruszania się w nocy.

Kolejną furmanką pojechaliśmy do Sambora i Chyrowa. Stamtąd zajechaliśmy do Sanoka. Przez Krosno trafiliśmy do Jasła. Zawieziono nas tam jakąś ciężarówką. Niemiecką? Pamiętam tylko, że kiedy zeskoczyłem z wozu na ziemię, podeszły do mnie dwie kobiety i zaprowadziły do swojego domu, gdzie nakarmiwszy mnie, ofiarowały nocleg. Było to przy ulicy Sobieskiego? Następnego rana jechaliśmy do Tarnowa i tam załadowaliśmy się do towarowego pociągu z jeńcami jadącym na zachód do Niemiec. Wtedy bodaj stałem się właścicielem solidnego koca ułańskiego, który ktoś porzucił. Tak dojechaliśmy do Krakowa., gdzie pocztowcy postanowili wysiąść i trzeba się było z nimi pożegnać. Straciłem nie tylko pomocnych bardzo towarzyszy, ale ponadto wspólną przepustkę, którą zabrali z sobą. Jechałem dalej sam, chłopak ledwo czternastoletni, w gimnazjalnym mundurku, z wojskowym kocem, ale bez żadnego dowodu osobistego wśród przygnębionych jeńców wojennych eskortowanych do obozów przez niemieckich konwojentów.

Sunący wolno pociąg zatrzymał się na szczęście na dworcu w Katowicach. Nie poznałem go zupełnie. Wszędzie wisiały niemieckie flagi i szwabachą czerniejące napisy *Kattowitz.* Udało mi się wyskoczyć na peron. Roiło się od niemieckich żołnierzy. Zbliżyłem się ostrożnie do wyjścia z dworca: żołnierz stał przy

kolejarzu odbierającym bilety.

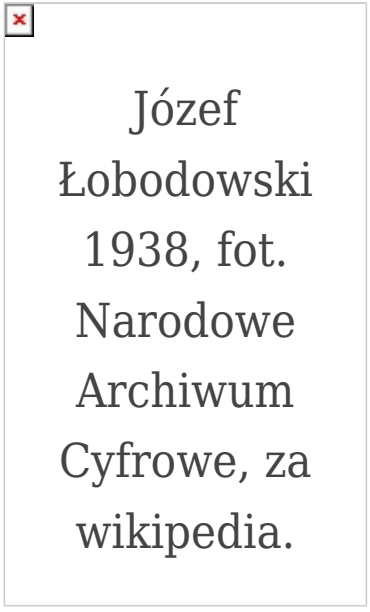
Nie miałem żadnego biletu. Zacząłem się kręcić w pobliżu przeszukując na próżno kieszenie. Namacałem proszek na ból głowy tzw “kogutek”, którego opakowanie kolorem i wielkością nie różniło się tak bardzo od formatu kartonika biletu. Myśląc gorączkowo nad sposobem wydostania się na miasto, zauważyłem, że zbierający bilety robił to machinalnie i byle jak, mało zważając na wkładane mu do ręki bilety. Nie namyślając się długo wszedłem między kilka osób i kiedy przyszła moja kolej, włożyłem proszek między bilety trzymane w dłoni przez nieuważnego kolejarza. Znalazłem się po drugiej stronie bariery i drutów kolczastych okalających perony. Byłem już w hali dworca, a kolejarz oglądając później zebrane bilety pewnie się raczej ucieszył znajdując proszek zamiast tekturki.

W lot zorientowawszy się w sytuacji wybiegłem na miasto. Po kwadransie pukałem do drzwi mieszkania wujostwa. Kończył się wrzesień. Wróciłem z niespodziewanego wojażu cały i zdrowy. Nie rozumiałem dobrze, jak to się wszystko stało i co znaczyło. Tuliłem mocno koc, w kieszeni miałem złoty zegarek i sześćdziesiąt złotych.

.

El señor lobo. Józef Łobodowski (1909-1987).

Florian Śmieja



Józef Łobodowski 1938, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, za wikipedia.

Józef Łobodowski objawił mi się w aurze podwójnie egzotycznej: jako mistrz błyskotliwego słowa poetyckiego i jako mieszkaniec

pociągającej Hiszpanii. Jego utwory czytałem w londyńskich „Wiadomościach” i paryskiej „Kulturze”, zazdroszcząc zadziwiającej płodności pióra i czując wobec niej pewną rezerwę, bo hołdowałem raczej skromniejszemu modelowi, bardziej lakonicznej wypowiedzi, wolałem oszczędność słowa. To, co nas wiązało i różniło, to Hiszpania.

Mimo bolesnych doświadczeń więzienia w Figueras, Łobodowski czuł się w obowiązku zażarcie bronić Hiszpanii frankistowskiej, uważając, że każda krytyka godziła w niego osobiście, że krytykowanie równało się wrogiej ingerencji. Inkursje Jana Winczakiewicza i moje w sprawy hiszpańskie uważał za niedopuszczalne i poczuwał się natychmiast do obrony przybranej ojczyzny. Utrzymywał ponadto, że mieszkając w Hiszpanii posiadał lepszą od innych znajomość literatury hiszpańskiej. Istotnie, literaturą tą się zajmował, a nawet pasjonował. Była to jednak miłość entuzjasty, który brzydził się szkolarskim ślęczeniem nad książkami. Pożerał teksty i brał z nich to, co mu się podobało. Pisał o tej literaturze, tłumaczył ją, w niej znajdował inspirację. Nie dla niego było zaglądanie do słownika. Język, którego zaczął się uczyć w więzieniu w Figueras, hartował w codziennym obcowaniu z Hiszpanami wszelkiego autoramentu, doskonalił w żywych kontaktach ludzkich, najchętniej w uroczych barach madryckich, gdzie przy winie bez końca toczą się namiętne rozmowy. Nieraz mu w tych miejscach towarzyszyłem, nie nadążając w poczęstunkach – po

kilku koniakach i kawach pasowałem. Pamiętam, jak niekiedy musieliśmy się przenosić z jednego lokalu do drugiego, w miarę jak się robiło późno i bary zamykały się nad ranem. Lobo, jak go zwykle tam nazywano (lobo to po hiszpańsku wilk) znał klientów, pociągając fajkę wykrzykiwał na prawo i lewo swoim stentorowym głosem i twardą wymową cięte dowcipy i komentarze, ciesząc się z żywej reakcji obecnych.

We mnie spotkał jednego z intruzów w prywatnym rewirze, gdzie pragnął rządzić jak hospodar z portretu, który wisiał w jego pokoju. W ręku dzierżył buławę hetmana polskich poetów Ukrainy. Tolerował mnie, bo odwiedzałem go w Madrycie regularnie i nie zgłaszałem sprzeciwu, gdy utrzymywał, że tak jak jego przyjaciel najlepiej władał językiem hiszpańskim wśród Polaków, tak on był wśród nich największym znawcą hiszpańskiej literatury. Nauczony w Anglii kultywowania powściągliwości, nie protestowałem, dzięki czemu mogłem z Łobodowskim chodzić po Madrycie, a nawet zaglądać do *Radio Nacional*, w którym miał swoje pogadanki skierowane do Polski. Któregoś nawet roku przespałem dziesięć nocy na podłodze w mieszkaniu jego przyjaciół pod nieobecność gospodarzy, w zamian za kilka garnców czerwonego wina. Łobodowskiemu lekarze dawali kiedyś pół roku życia, jeżeli nie przestanie pić. Poeta okazał się twardym pacjentem: operację przeżył, wina się nie wyrzekł, a pożył jeszcze dwadzieścia kilka lat.



Hiszpania, fot. pinterest

Z racji moich zainteresowań hispanistycznych skrzyżowałem z Łobodowskim szpadę kilka razy. Był on żywiołem rzuconym przez los do kongenialnego kraju. Jego bujna kresowa wena poetycka, jego temperament znalazły świetną pożywkę w orientalnych elementach poezji hiszpańskiej. Pobudliwość, łatwość słowa i stepowa pamięć poety umiały transponować hiszpańskie teksty, poszerzać je i naśladować. Tą kolorową, pociągającą espanioladą potrafił czytelnika polskiego

zafascynować. Przykładanie do tych utworów miar filologicznych mija się z celem. I trudno mieć pretensje o wierność przekładu tam, gdzie mamy do czynienia raczej ze swobodną przeróbką i obracaniem się w kręgu motywów i metafor zapożyczonych, z imitacjami, z różnego rodzaju pokrewnymi konstrukcjami. Można wieść spór o to, że liryki te odbiegały daleko i nie reprezentowały źródeł inspiracji czy nawet sprzeniewierzały się ich duchowi, że, tak jak to było na przykład w jego gazelach i kasydach, zatracały filigranowość, dyskrecję, delikatność i powściągliwość, cechy oryginalnych liryków, a stały się nieraz nazbyt hałaśliwe, przerysowane, nawet rubaszne.

Łobodowski strofowany za nonszalancję zwykł był odpowiadać, że obok skrupulatności praca tłumacza wymaga również ryzyka. Tego ostatniego nie dostrzegał w moich przekładach. Poddając w artykule „Dzieje andaluzyjskiego osiołka" moją polską wersję prozy poetyckiej Juana Ramona Jimeneza „Platero y yo" drobiazgowej, surowej, ale nie niesprawiedliwej krytyce zdobył się na to, by napisać, że

> Śmieja wyszedł z ciężkiej potrzeby ze zdrowiem, aczkolwiek przegrał niejedną potyczkę. ("Wiadomości", 19. 11. 1961).

Dobrych, opublikowanych przekładów poezji hiszpańskiej ciągle jeszcze nie mamy zbyt wiele. Łobodowski latami zapowiadał

antologię, ogłosił nawet przedpłatę na tom „Droga do Tobozo”, ale nie doczekaliśmy się jej publikacji. Drukując w roku 1975 w „Wiadomościach” artykuł „Szlak Don Kichota”, w którym opisał m.in. pieszą wędrówkę z domniemanej miejscowości narodzin Don Kichota Argamasilla de Alba do gór Sierra Morena, Łobodowski dodał:

> Powyższy tekst jest fragmentem większej całości, stanowiącej pierwszą część tomu „Droga do Tobozo”.

Książka miała liczyć 450 stron. Do jej drugiej części przeznaczał „Pieśni galickie” ogłoszone na łamach tegoż tygodnika trzy lata później. Jeszcze w ostatnim numerze „Wiadomości” (3/1816, marzec/kwiecień 1981) Łobodowski tłumaczył:

> Mój plan wydawniczy uległ poważnej modyfikacji, na czym najbardziej ucierpiała właśnie „Droga do Tobozo”. Zanim dojdzie do jej uwolnienia z drukarskiego aresztu, wyjdą przynajmniej dwie inne książki poetyckie, znacznie mniejsze rozmiarami: tomik wierszy politycznych pt. „Dytyramby nieprzejednane” oraz także drukowane częściowo w „Wiadomościach” wiersze śródziemnomorskie, pt. „Mare nostrum”. Zaś prenumeratorzy, którzy wpłacili przedpłatę za „Drogę do Toboso” zyskają na zwłoce: książka ulegnie

> znacznemu rozszerzeniu.

Wypowiedź sugerowała, że istniały już zasadnicze zręby antologii mogące jeszcze liczyć na wzbogacenie. W innym numerze „Wiadomości” pisząc o poecie nikaraguańskim Rubenie Darío napomknął:

> To dlatego włączyłem przekłady jego wierszy do części antologicznej wciąż jeszcze nie wydanej „Drogi do Tobozo”,

a w nocie do artykułu tłumaczył:

> Poród jest bardzo długi i trudny, ale mimo wszystko dziecko urodzi się żywe, a nawet dobrze podrośnięte.

Mimo tych wszystkich zapewnień teraz już wiemy, że trzeba nam się kontentować ułomkami w postaci fragmentów „Srebronia”, części „Krwawych godów” i pojedynczych wierszy drukowanych w prasie i w czasopismach. Jego polityczna postawa uniemożliwiła druk jego przekładów w kraju, gdzie takie sprawy leżały nieraz w gestii osób nieliberalnych i do tego zawistnych. Janusza Strasburgera nie stać było nawet na gest, by wymienić wśród tłumaczy Jimeneza na język polski Łobodowskiego choćby

z nazwiska, kiedy w Hiszpanii ogłosił komunikat naukowy o przekładach „Srebronia” i zbył go wzmianką o „ludziach, którzy przebywają poza Polską”.

Tymon Terlecki przemawiając w Chicago w 1977 roku na wieczorze poetyckim Łobodowskiego powiedział m.in.

> W historii polsko-hiszpańskich związków kulturalnych Łobodowski ma ważne miejsce. Nikt przed nim tak szeroko nie otworzył polszczyźnie Hiszpanii poetyckiej, nie sięgnął tak głęboko do skarbca jej liryki. (…) Ten dorobek, akt poetyckiego zaboru i przyswojenia na własność podsumuje wielka, 500 stronicowa antologia „Droga do Tobozo”, znajduje się w druku.

Istotnie, gdyby Łobodowski posiadał większą dyscyplinę pracy, mógł był się stać niedościgłym tłumaczem hiszpańskiej literatury, głównie poezji. Był w stanie stworzyć natchnioną antologię najcelniejszych utworów poetyckich mowy kastylijskiej. Brakowało mu materialnego zaplecza, zabezpieczonego bytu, pomocy edytora czy chociażby sekretarki. Tak jak wielu emigracyjnych pisarzy roztrwonił czas borykając się z ciężką dolą pisarza za granicą pozbawionego środków utrzymania i niezbędnych pomocy dla usprawnienia, a choćby tylko utrzymania, warsztatu pisarskiego.



Hiszpania, fot. pinterest

W ostatnim liście Łobodowski pytał mnie, kiedy znowu pokażę się w Madrycie, bo tymczasem z nie tak odległej Anglii przeniosłem się do dalekiej Kanady. Niestety, umarł trzy tygodnie przed moim kolejnym pojawieniem się na ziemi hiszpańskiej. Na wieść o jego śmierci zrezygnowałem z odwiedzenia Madrytu. Bez señora Lobo wydał mi się nagle zupełnie nieatrakcyjny.

———

Zob. też

http://www.cultureave.com/wschod-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/

Stefan Król. Głos w dyskusji.



London, Ontario

W roku 1972 członkowie Polonii w kanadyjskim mieście London założyli towarzyski klub dyskusyjny – zawieszony dopiero w roku 2015 – celem stworzenia platformy

umożliwiającej wymianę myśli przez organizowanie odczytów i publikowanie swoich przemyśleń.

Warto przypomnieć niektóre wypowiedzi i ich autorów. Fizyk Stefan Król (1937-2015) należał do bardziej aktywnych i zasługujących na pamięć. Niniejszy tekst składa się z części listu napisanego przez Stefana Króla po przeczytaniu artykułu Floriana Śmieji o roczniku „Wiadomości” 1955 r. Mieczysława Grydzewskigo oraz fragmentów eulogii Marii Magdaleny Rudiuk na śmierć Stefana Króla.

Maria Magdalena Rudiuk



Stefan Król

Stefan był „wspinaczem”, który włączał do swoich prac szlachetne serce. Tym właśnie sercem obdarował swoją rodzinę i prace, jakie podejmował, co więcej wystarczyło mu tego serca także dla przyjaciół. Osobiście miałam szczęście i przywilej doświadczyć tego.

Angażował się, i jak sadzę, to miało swoją emocjonalną cenę, prawdopodobnie nie zawsze służyło zdrowiu. Tak właśnie myślę, ale żył swoim życiem i przeżył go do końca nie wyrzekając się Siebie i nie w rezygnując z zabierania głosu, w sprawach, które uznał za ważne. Jakkolwiek by nie było osądzone Jego szerokie społeczne, w tym polityczne zaangażowanie, to jestem pewna, że wszystko co robił, robił z najszlachetniejszych pobudek. Nie mam, co do tego najmniejszych wątpliwości, nawet gdybym nie zgadzała się z Jego zdaniem.

Taki był Stefan: wielkiego umysłu, wielkiego serca i wielkiego poczucia odpowiedzialności własnej, a więc człowiek wysokiego morale. Nie było potrzeby ze wszystkim się z Nim zgadzać, aby mieć dla Niego szacunek, aby zobaczyć szlachetność intencji.

> Marianno, znajdź Kochana w sobie tę siłę, aby znieść ból utraty. Jesteś nie tylko żoną, ale i na wielkie szczęście i radość także matką i babcią, masz więc dla kogo nie tylko

> żyć dalej, ale też cieszyć się życiem i pielęgnować i przekazywać dalej pamięć o swoim wspaniałym Mężu, Ojcu, Dziadku i Przyjacielu wielu ludzi.

Stefan był i będzie żywy w naszej pamięci, jako jeden z rzadkich okazów – autentycznego renesansowego człowieka. Zastanawiające i znakomite połączenie umysłu analitycznego fizyka z szerokim spektrum zainteresowań filozofią, historią, literaturą, religią, sztuką, polityką, a przy tym, imponująca, gorąca, czysta wiara w wartości absolutne i oczywiście, co w tym wagi najwyższej – w Boga. Wierny syn Kościoła Katolickiego i tej odnawianej ostatnio tradycji polskiego katolickiego ducha zabarwionego miłością ojczystego gniazda.

Dla mnie Stefan był bardzo polski i doskonały w tej swojej polskości, szanujący świętość tradycji i umiłowanie gniazda i przy tym wyśmienite znawstwo polskiej kultury, oczytanie połączone i z własnymi przemyśleniami. Pisanie i komentowanie miał we krwi, tematy mogły być różne, ale klasa myślenia i pisania imponująca. Połączenie wielkiego serca i głębokich przekonań jest niebezpieczną dla zdrowia mieszanką. Wiele razy myślę, że intensywność przeżywania ma swoją cenę, zaangażowanie ma swoje konsekwencje i właśnie taki jest dla mnie przypadek Stefana. Mógł wieść spokojne życie profesora uniwersyteckiego na emeryturze w Kanadzie, ale to nie byłby

Stefan.

Stefan Król

Po przeczytaniu artykułu nie zgadzam się z panią Danilewiczową. Jej drastycznie nieprzychylne sądy o Celinie Mickiewiczowej rażą absolutnym niezrozumieniem sytuacji psychicznej pani Celiny w małżeństwie z Mickiewiczem. Nie jestem feministą, ale to co zrobili z miłością małżeńską polscy romantycy (Mickiewicz, Krasiński) nie mogę przy maksymalnej przychylności dla wieszczów, zaakceptować.

To prawda, że Celina nie była muzą Adama. Ale nie jest prawdą, że nie chciała być. To Adam nie wyobrażał sobie, że mogła by nią być. Wynikało to z romantycznego radykalnego rozcięcia: ideału i codzienności, nie mających ze sobą żadnego styku. W sferze ideału romantyzm żył Unią Dusz Przed Wiekami Dla Siebie Stworzonych. Unię ciał akceptował, jeśli była sporadyczna i niebezpieczna, tzn. pozamałżeńska. Codzienność obdarzano jedynym uczuciem: pogardą. Bóle głowy żony, rodzenie dzieci, choroby dzieci, angażowanie nianiek i nauczycieli to było „kartoflane życie” – tak właśnie Krasiński nazwał codzienne radości rodzinne. W innej tyradzie przeciwko „zwykłym

kobietom” o mężach, którzy lubią podobne radości, napisał, że „kochają się w mięsie”, a matki jak „baryły” są tu nienawistne. Mickiewicz nie był tak drastyczny jak Krasiński, ale historycy literatury ustalili, że na początku małżeństwa Mickiewicz nazwał żonę „meblem”, a w liście po śmierci żony, po wyrażeniu żalu, że wprawdzie umierała godnie, ale za życia duch jej źle mu służył, wylicza osobiste rzeczy jakie po niej zostały. Jest ro niemal symboliczne dla Mickiewicza całe życie Celiny było życiem rzeczy. A przecież młoda Celina nie tak zapewne sobie wyobrażała swoje życie z największym polskim poetą, gdy słuchała jak jej matka komponuje i gra muzykę do ballad Adama. Poeta dedykował jeden wiersz Marii Szymanowskiej – matce Celiny, żonie nie poświęcił nawet przecinka. Można przypuszczać – pewnym być nie można – że nigdy nie pomyślał, że krzątająca się w domu Celina jest również ”matką Polką”. Ona była wyłącznie „matką jak baryłka”. Rzeczywiście urodziła mu aż sześcioro dzieci.



Celina Mickiewiczowa z córkami Marią i Heleną, obraz olejny autorstwa Zofii Szymanowskiej-Lenartowicz, 1850 r., fot. wikipedia.

Pani Danilewiczowa widzi dramat Adama. Bez wątpienia: to był wielki dramat, mający bezpośredni wpływ na literaturę polską. Nie widzi jednak dramatu Celiny, postaci bezpośrednio w literaturze nic nie znaczącej, ale znaczącej w życiu równorzędnej Adamowi. Jej prawdzie życiowej należy się racja równa racji jej męża i ojca jej dzieci. Właśnie: historycy literatury ustalili, że w listach Celiny Mickiewiczowej, Adam występuje wyłącznie jako mąż, ojciec, niezbyt zaradna głowa rodziny, ale nigdy jako

człowiek wybitny. Danilewiczowa powie, to histeryczny kopciuch mrożący „skutecznie wszelkie porywy poetyckie męża”. Nazbyt prostoduszna stanowczość! Równie dobrze można pomyśleć, że celowe pomniejszanie geniusza to rozpaczliwa obrona kobiety zepchniętej przez garnki i dzieciaki w sferę pogardzanej codzienności, a uważającej, że jej się też należy udział w „wyżynach ducha”. Nic dziwnego, że przy takim napięciu jej system nerwowy załamywał się.

Ciekawe, że romantyczna idiosynkrazja do żony przeżyła romantyzm. Pierwszym nowoczesnym polskim poetą, który żonę uczynił swoją muzą był Gałczyński. Już za to jedno postawiłbym mu pomnik. Byłby to drugi pomnik postawiony na ziemi polskiej z tego powodu. Pierwszy miałby Kochanowski. Jakże on pięknie pisał o swej żonie Dorocie.



Karol Szymanowski, fot. theviolinchannel.com

***

W naszej kanadyjskiej CBC sobotnie popołudnie poświęcone jest operze W jedną z sobót nadano w całości operę Karola Szymanowskiego „Król Roger". Szymanowski wśród Verdich, Puccinich, Mozartów etc. – wyróżnienie nie lada, bo to wprowadzenie polskiej muzyki do światowej świadomości muzycznej.

Sobotnie popołudnie z Szymanowskim stanowiło dopiero jedną trzecią pocieszenia. Dwie trzecie dostarczył mi *BBC Music Magazine* wydawany w Londynie, który od dwu lat prenumeruję. Wiem co grają w najważniejszych salach koncertowych świata. (Głównie jednak europejskich, w tym czasami w Warszawie). Otrzymuję między innymi komentarze o jakości nagrań i co miesiąc jeden dysk z muzyką poważną. W porównaniu np. z Polskim Ruchem Muzycznym, *BBC Music Magazin* jest na pewno bardziej handlowy. Otóż w tym magazynie jest mała rubryka „Kompozytor miesiąca". Tym razem był Karol Szymanowski. Artykuł o nim napisał Jan Smaczny (Jestem prawie pewny, ze to Czech). Nie było w nim echów i achów, ale była rzetelna informacja.

O to właśnie chodzi. W czołówce informacyjnej redakcja napisała:

> A comopolitan Pole, he travelled far beyond the bounds for his native land *for* inspiration. Jan Smaczny tries to pin down this elusive figure in 20th century music.

Nie wiem dokładnie, co to znaczy *elusive*, ale na podstawie tego, co wiem, wydaje mi się, że przymiotnik ten dobrze opisuje status Szymanowskiego także w polskiej świadomości muzycznej.

I ostatnia część. Tenże *BBC Music Magazine* wydaje czasami numery monograficzne poświęcone ciekawym tematom (np. operze, dyrygentom muzycznym, muzyce dawnej). W numerze poświęconym liturgicznym inspiracjom w muzyce (głównie mszy św.) redakcja wybrała kilkadziesiąt dysków (45) *The best of sacred choral music*. Wśród nich są dwa polskie utwory: *Totus tuus Góreckiego* (Choir King's College , Cambridge) i *Stabat Mater* Szymanowskiego. W prezentacji dysku krytyk muzyczny BBC (Andrew Stewart) pisze między innymi:

The final movement „Chrystus niech mi będzie grodem", would feature high in my personal list of favourite sacred choral pieces, such is its emotional range, unaffected compassion and beauty of sound. The „Litany of the Virgin Mary" contains the same serene but fervent spirit of prayer.

***

Świat idzie z postępem. Prywatyzacja wciska się wszędzie. Więc i w naszym mieście sztywne instytucje kulturalne ulegają prywatyzacji. Dobrze to robi na ich prężność organizacyjną i zewnętrzną wystawność. Ale czy prywatyzacja równie dobrze wpływa na „uprawę", którą te instytucje powinny się zajmować? Można mieć co do do tego wątpliwości. Szkoda wszak podstawowym i pierwotnym sensem kultury jest właśnie uprawa. Uprawa ludzi. Bardzo to górnolotne sformułowanie, ale trudno nazwać inaczej. W każdym razie bez pewnej wewnętrznej normy obiady czwartkowe zamienią się – nie wiadomo kiedy – w salon bogatych cyganów.

═══

O rodzinie Adama Mickiewicza pisał Władysław Pomarański:

http://www.cultureave.com/wladyslaw-mickiewicz-syn--wielkiego-ojca/

–